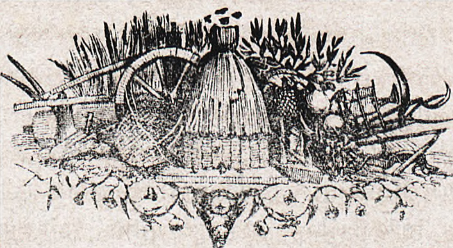
Tom XIV. Nr. 18.

21. czerwca 1866.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

POWSTANIE POLSKIE W ROKU 1831.

VII. Wojna na Litwie.

Mówiliśmy już wam, że kiedy wybuchło powstanie Litwinów przeciw Moskwie, to im zrazu pomocy nie posłano, co było wielkim bardzo błędem, bo sami biedni Litwini rady sobie w żaden sposób dać nie mogli. Jednakże wysłano w końcu i Litwinom pomoc. Poszedł tam najpierw jenerał polski Chłapowski. Było to jeszcze przed bitwą pod Ostrołęką.

Jenerał Chłapowski miał z sobą tylko małą ilość wojska i tylko dwie armatki, ale spisywał się dzielnie. Dnia 21. maja dostał się jenerał Chłapowski do Litwy i stanął nad rzeką Niemnem. W nocy przeprawił się przez rzekę i zaraz na drugi dzień zabrał Moskalom jeden magazyn, a potem napadł na moskiewskie wojsko pod Białowiejską puszczą i pobiwszy je zabrał 300 niewolnika. Zaledwie się uporał z jednymi, dopadł jenerał Chłapowski zaraz i innych Moskali, rozbił ich, odebrał im jedną armatę i zabrał znowu 150 ludzi do niewoli.

Następnie ruszył jenerał Chłapowski pod Grodno. Moskale dowiedziawszy się o tem uciekli z miasta, lecz Chłapowski dopędził ich i cały prawie oddział z dwoma armatami i z chorągwią zabrał. Z tamtąd ruszył jenerał Chłapowski pod Troki, a po drodze łączyli się do niego Litwini, aby z nim wspólnie bić Moskala. W wszystkich tych bitwach miał jenerał Chłapowski tylko 600 żołnierza — a zabrał do niewoli razem 1800 Moskali, a więc trzy razy tyle, ile sam miał wojska. Z tego już najlepiej dorozumieć się możecie, jak tędzy byli jenerałowie i jak waleczni byli żołnierze polscy.

Kiedy tak jenerał Chłapowski bił Moskali w Litwie, spieszył na Litwę z nową pomocą jenerał Giełgud, który miał pod sobą dwóch innych jenerałów Dembińskiego i Rolanda. Jenerał Giełgud spotkał dnia 29. maja pod Rajgrodem 7000 Moskali z szesnastu armatami, napadł na nich, rozbił i 1200 Moskali do niewoli zabrał.

Po tej wygranej pospieszył jenerał Giełgud do Kiejdan, gdzie się z owym jenerałem Chłapowskim połączył. Złożono radę wojenną i jenerałowie zgodzili się na to, aby iść na stolicę litewską Wilno, i wypędzić z tamtąd Moskali. Ale tymczasem ściągnęli się dla swej obrony Moskale w wielkiej liczbie pod Wilno. Było ich razem przeszło dwadzieścia tysięcy, a mieli z sobą sześćdziesiąt armat — naszych zaś wszystkich było tylko dziesięć tysięcy i mieli tylko dwadzieścia armat. Bitwa była zacięta i trwała przez jedenaście godzin, Polacy i powstańcy litewscy bili się wielką walecznością, ale Moskale siłą, i dobrem, obronnem stanowiskiem przemogli, bo stali za górami lasami. Tym sposobem bitwa ta pod Wilnem nieszczęśliwie się skończyła dla Polaków i jenerał Giełgud musiał się cofać. Wielka to była szkoda i klęska, bo przez to Moskale odrazu wzięli górę na Litwie, a powstanie, które tam wybuchło, już nie mogło się dalej trzymać.

Jenerałowie polscy którzy byli pod dowództwem Giełguda, zrobili radę wojenną i postanowili podzielić się wojskiem i bić się z osobna. Podzielono tedy całe wojsko na trzy korpusy i nad temi korpusami objęli dowództwo jenerałowie Chłapowski, Roland i Dembiński. Ale z tych trzech korpusów

już tylko jeden się uratował. Jenerał Dembiński przeprowadził swoją część do Warszawy, przyczem z okropnemi trudnościami pomiędzy wojska moskiewskie przekradać się musiał. Nie tak się już powiodło Chłapowskiemu i Rolandowi. Obsaczeni zewsząd przez ogromną ćmę Moskali nie widzieli innej rady, jak tylko przejść granicę pruską i złożyć broń w kraju króla pruskiego. Jakoż zrobili to dnia 15. lipca.

VIII. Warszawa się poddaje.

Kiedy tak już rzeczy stały, Moskale poczęli się ściągać ku Warszawie. Ich główny dowódzca, Dybicz, który się przechwalał, że od razu zgniecie Polaków, widząc, że to się nie udaje, zachorował z zgryzoty i umarł. Na jego miejsce objął dowództwo nad Moskalami jenerał Paszkiewicz. Tymczasem jenerał Chrzanowski skropił dzielnie Moskali pod Mińskiem, gdzie im zabrał 1000 ludzi i jedną armatę. Ale choć to nasi tłukli i tłukli Moskali, rady dać im nie mogli, a to z dwóch przyczyn: najpierw, że ich była okropna moc, powtóre, że jenerał Skrzynecki, który nad polskiemi wojskami przewodził, źle się spisał i rzeczy niedołężnie prowadził. Bo to na wojnie nie dość jest bić i pobić, ale trzeba jeszcze zręcznie manewrować wojskami, wiedzieć gdzie jakie miejsce obsadzić, jaką drogę nieprzyjacielowi odciąć, kiedy przyjąć bitwę, kiedy nie itd.

Otóż Moskale całą swą ogromną armią przeszli Wisłę, a jenerał Skrzynecki, zamiast tak zatrudnić Moskali, aby się musieli dzielić i po kraju rozdrabniać, dopuścił, że się skupili w jedną wielką siłę. Zaszła jeszcze dalej bitwa pod Raciążem, gdzie jenerał Turno z honorem walczył przeciw Moskalom, choć ich nie pobił, bo mu na tyle wojska nie starczyło.

Tymczasem obudziła się niechęć przeciw jenerałowi Skrzyneckiemu. Widziano, że nie umie rzeczy prowadzić, jak się należy. Myślano tedy o nowym naczelnym wodzu. Właśnie w tej porze powrócił jenerał Dembiński z Litwy. Powrót ten jego był prawie cudem. Kiedy inni jenerałowie, co byli razem z Dembińskim na Litwie, przeszli jak już wiecie, na pruską ziemię, on sam przedarł się pomiędzy wojska moskiewskie,

zrobił 150 mil w krótkim czasie, nie stracił ani jednej armaty i wrócił do Warszawy. Była to sztuka nie lada i tylko taki dzielny jenerał jak Dembiński mógł jej dokazać.

Wielką sobie tem sławę zjednał między Polakami Dembiński i zaraz, jak tylko stanął w Warszawie, wołali wszyscy, aby go zrobić naczelnym wodzem. Jakoż mianowano zaraz jenerała Dembińskiego naczelnym wodzem. Wszystko wojsko polskie sciągało się też pod Warszawę, bijąc się po drodze z Moskalami.

Tymczasem w Warszawie zaszły okropne wypadki. Lud widząc, że mimo to, iż żołnierz polski tęgo się bije i zwycięża, przecież Moskale biorą górę, jedynie dla tego że niektórzy jenerałowie kiepsko i niedbale prowadzą rzeczy, począł się ogromnie burzyć, a w nocy z dnia 15. na 16. sierpnia wybuchły ruchy. Skoro tylko powstanie wybuchło, dopominał się lud, aby wszystkich zdrajców i szpiegów moskiewskich ukarać śmiercią, ale jenerał Chłopicki sprzeciwiał się temu, i nie chciał ich wydać ludowi, mówiąc, że ich samo prawo polskie ukarze. Kontentował się tem lud a potem i zapomniał całkiem, bo go zwycięztwa polskie radowały, kiedy jednak rzeczy zaczęły znowu brać zły obrot, lud się wzburzył i domagał się, aby tych zdrajców, którzy jeszcze żyli i tych jenerałów polskich, którzy z umysłu lub niedbalstwa źle rzeczy kierowali, wydać w jego ręce.

Owoż dnia 18. sierpnia w nocy musiano wydać ludowi warszawskiemu wszystkich oskarżonych i wszyscy padli trupami pod zemstą ludu. Trzydziestu pięciu odniosło karę śmierci. Między nimi byli także jenerałowie Jankowski, Hurtig, Bukowski, Sałacki. Po tej strasznej nocy zaszły zmiany i w rządzie narodowym. Książe Czartoryski, który dotąd był naczelnikiem rządu, ustąpił, a na jego miejsce nastąpił Krukowiecki, człowiek, na którym się nie poznano od razu, bo myślano, że to dobry Polak i dzielny, a on tymczasem był bez czci i wiary i nie chodziło mu o ojczyznę tylko o własną pychę. Tak to nieszczęście zaślepiło Polaków! Otóż ten Krukowiecki otrzymał największą władzę, taką, jaką miał zrazu jenerał Chłopicki, to jest, został dyktatorem. Krukowiecki

zaraz odebrał naczelne dowództwo jenerałowi Dembińskiemu i powierzył tę godność Małachowskiemu.

Wszystko wojsko polskie było, jak już wam powiedziałem, ściągnięte pod Warszawę. Było tego wojska około pięćdziesiąt tysięcy. Ale z tych pięćdziesięciu tysięcy poszło potem około dwadzieścia tysięcy w województwo podlaskie, aby tę część kraju oczyścić z Moskali i tym sposobem zapewnić Warszawie żywność na przypadek, gdyby Moskale ją oblegali. Udało się to ostatnie. Pod Rogoźnicą pobili nasi na głowę moskiewskie wojsko pod dowództwem Werpachowskiego i nietylko, że mnóstwo Moskali położyli ale nadto wzięli do niewoli dwa tysięce moskiewskich żołnierzy i komenderującego jenerała.

Wojsko polskie pod Warszawą wynosiło teraz trzydzieści tysięcy i miało dziewięćdziesiąt dwie armat. Wzięto się do obwarowania Warszawy. Usypano trzy pasma szańców i obstawiono je armatami, których tam było sto ośm. Dopiero przy obronie się pokazało, jacy to niedbali, głupi i niedołężni ludzie byli, którzy stali u steru rządu. Wojsko było dzielne i takie walczne, jakiego w całym świecie nie ma. Ale nie było dobrej głowy, któraby się starała, aby to wojsko miało wszystko, co potrzebuje, zapomniano o wszystkiem, nic nie przygotowano. Nie ulano dosyć armat choć był czas na to. Zamiast coby ulać kilkaset armat, ulano trzydzieści. Ztąd też, choć żołnierz był, choć ten żołnierz był waleczny — nie można było bronić się dobrze. Strasznie odpowiedzą ci ludzie przed Bogiem, którzy się takiej niedbałości dopuścili! Na dobitek wszystkiego złego, źle jeszcze porozstawiano wojska na szańcach i to do reszty zgubiło Warszawę.

Tymczasem stanęło pod Warszawą około sto tysięcy Moskali pod dowództwem Paszkiewicza.

Dnia 6. września uderzyli Moskale na Warszawę od wsi Woli, a potem napadli odrazu na wszystkie prawie szańcy. Rozpoczęła się okropna bitwa i straszne strzelanie z armat. Polacy, choć ich tak było mało, i choć nie mieli armat w dostatecznej ilości, bili się z niesłychaną walecznością i zaciętością. Za każdą stopę ziemi, płacić musieli Moskale okropnym przelewem swej własnej krwi. Nasi żołnierze cudów wale-

czności dokazywali. Cały świat podziwiał potem i uwielbiał tę waleczność i miłość ojczyzny. Na jednym szańcu bronił się oddział polski tak walecznie, że tylko czterech Polaków zostało przy życiu, na innym tylko szesnastu polskich żołnierzy ocalało. Każdy bowiem wolał ponieść śmierć za ojczyznę, niż poddać się Moskalowi. Żaden polski żołnierz nie dawał i nie przyjmował pardonu. Gdy Moskale przez zdobyty szaniec wdarli się z jednej strony do Woli, zamknął się sześćdziesiątletni starzec, jenerał polski Sowiński, który stracił był jedną nogę jeszcze w wojnach napoleońskich pod Mozajskiem. W kościele tym bronił się z swymi żołnierzami do ostatniego tchu, gdy mu już wszystkich żołnierzy wybito, on sam jeden bił się jeszcze dalej i nie przyjmując pardonu, który mu dawali Moskale, padł śmiercią świętą, bohaterską! Uchylcie głowy z czcią na wspomnienie tego szlachetnego starca! Zapisany on między największymi synami ojczyzny. Jest pieśń o tym jenerale Sowińskim i jego śmierci, która tak opiewa zgon jego:

Śmierć Sowińskiego.

Gdy trzechset dział gromy grzmiące
Dały hasło na bój krwawy,
A moskiewskich rot tysiące
Biegły na szaniec Warszawy.

Garstka naszych za wałami,
Przy wolskim stała kościele,
Witając wrogów strzałami,
Z ich trupów wał drugi ściele!

Wódz o szczódle im przewodzi,
Włos jego kryje siwizna,
Lecz młodzieńczą siłę rodzi
Honor, wolność i ojczyzna!

To Sowiński — krwią okryty
Darmo wygląda pomocy,
Szańce przez wroga zdobyte
Męztwo uległo przemocy.

Na kilku żołnierzy czele
Co z nim przysięgli umierać,
Szablą drogę sobie ścieli,
Tysiącom chce się opierać!

W święcone mury kościoła,
Cofa się wódz ze swoimi,
I na swoją garstkę woła:
– Gińmy, lecz gińmy wolnymi!

Biegną tłumy rozsrożone,
Nowa je wściekłość zagrzała,
Już drzwi kościoła skruszone,
Ale walka nie ustała.

Bronią się Polacy śmieli,
Lecz co chwila ich nie staje,
Wszyscy wreszcie poginęli,
A Sowiński sam zostaje!

Sam został lecz nie ugięty,
Przed przemocą się nie zniża!
Poszanowaniem przejęty,
Sam wódz moskiewski się zbliża:

— Krzycz pardon! — Moskal go wzywa —
Szaleństwem jest walka taka!
Sowiński pierś mu przeszywa:
— Oto jest pardon Polaka!

Już nie żył a dzikie wrogi,
W milczeniu wstrzymali kroki,
Okiem szacunku i trwogi,
Patrzyli na jego zwłoki!

W innem miejscu porucznik polski Nowosielski, który obsadził był magazyn prochu, podpalił proch i sam się z całym magazynem w powietrze wysadził! Zginął sam ale proch i mnóstwo Moskali w powietrze wyrzucił! Tak umierał waleczny żołnierz polski!

Ale mimo tych cudów waleczności i poświęcenia źle się ta bitwa skończyła! Jeszcze była nadzieja, choć Moskal ze

wszystkich stron wpadał, jeszcze nasi trzymali się dzielnie, kiedy Krukowiecki, istny zdrajca, nietylko, że obroną Warszawy najgorzej kierował ale nadto ni ztąd i zowąd, po cichu i skrycie zwąchał się z Moskalami i miasto dobrowolnie im wydał. Ogłosił wojsku, że miasto Warszawa poddaje się Moskalom, czyli jak na to jest wyrażenie takie: zawiera kapitulacyę i kazał się cofnąć z miasta na przedmieście. Wojsko polskie, słuchając dyktatora, cofnęło się na przedmieście Pragę a Moskale dnia 8. września wkroczyli do Warszawy! Za te niedołęztwo, za te podłe postępki imię tego Krukowieckiego hańbą się wieczną okryło!

Przy tej walce o Warszawę ranionych i zabitych Moskali było piętnaście tysięcy. Pięćset oficerów moskiewskich i czterysta podoficerów padło lub odniosło ciężkie rany. Polaków zabitych i rannych było tylko trzy tysiące. Skoro jednak Warszawa dostała się w ręce moskiewskie, wojna już była tak jakby skończoną!

Wojsko polskie opuściwszy Warszawę udało się pod Modlin. Było jeszcze kilka utarczek i bitw z Moskalami — ale już wszystko się nie wiodło i dziesięć tysięcy wojska polskiego musiało znowu przejść dnia 17. września na ziemię austryacką, gdzie też pod Chwałowicami broń złożyło. W końcu potem i inny oddział polski pod jenerałem Różyckim schronić się musiał do Krakowa, który był jeszcze podówczas wolnym. Ale Kraków został zajęty także przez Moskali i wojsko polskie przeszło do Austryi. Zostało jeszcze wojsko polskie pod jenerałem Rybińskim. Ale i to przeszło na pruską ziemię pod Brodnicą dnia 3. października.

Tak nieszczęśliwie skończyło się po ośmiu miesiącach powstanie — i Polska wpadła znowu w ręce okrutnych Moskali, którzy odtąd mszczą się ciągle na niej nieludzko. Aż się serce krwawi, że mimo polskiej waleczności i tylu zwycięztw Polska uledz musiała. Nie była to wina żołnierzy, ale wina tych co rządzili i tych co dowodzili. Oni to głupotą i niedołęztwem zgubili Polskę.

Opowiedzieliśmy wam tu tylko najgłówniejsze rzeczy i to bardzo króciutko, abyście sobie łatwiej spamiętać mogli cały

przebieg sprawy. Później zaś dopowiemy wam jeszcze to, cośmy opuścili i opiszemy wam rozmaite śliczne przykłady waleczności polskiej.

Jan Sobieski na łowach.

Dwie mile od Złoczowa leży miasto Pomorzany. Pomorzany były niegdyś własnością Sobieskich — a Jan Sobieski, nim polskim królem został obrany, często tam przyjeżdżał. Osobliwie lubił Jan Sobieski polować w pomorzańskich lasach, gdzie było bardzo dużo zwierzyny. Otóż w Pomorzanach, w księgach miejskich i zamkowych zapisany jest taki dziwny wypadek, który się zdarzył Sobieskiemu w polowaniu.

Jakoś w drugiej połowie stycznia 1665 roku na przybycie Sobieskiego urządzono wielką obławę w lasach Pomorzańskich od strony Dunajowa i od starego zamczyska w Buszczu. Niedostępne wąwozy i jary, częste ściekiem wody wyżłobione przepaście, górzyste położenie, przytem gęsty odwieczny las buczyną i dębiną obrosły, przeplatany od czasu do czasu polankami bujnem zielskiem porosłemi — dozwalał zwierzom licznego i swobodnego przybytku; to też las ten był wówczas najulubieńszem miejscem dla młodego pana, jak nazywano Sobieskiego w czasie łowów.

Wyszedł tłum gajowych z ludźmi już równo z dniem w las do obsaczenia miejsc wyznaczonych przez leśniczego Jarchockiego. Ale tą razą dla przeszkód różnych polowanie rozpoczęło się już dobrze ku południu. Sobieski stanął na stanowisku dziś zwanem „bracką pasieką“, przy nim kozacze pacholę podające broń; od miejsca tego ciągnął się długi a szeroki wąwoz ku północy, jako droga leśna do grobli Dunajowskiej — od zachodu na wschód ledwie dojrzana ścieżka gubiąca się po obu stronach w dziko zarośniętych jarach; od południa była polanka obszerna, punkt na który nieomylnie liczny zwierz miał wypaść.

Wtem na dany znak ruszyła obława — pędzono zwierza od granicy Dunajowskiej, w Mieszczuckim (gdzie dzis Nestiuki)

lesie rozstawieni strzelcy dawali ognia; Sobieski tą razą strzelał ale nieszczęśliwie, przeszło kilka rogaczy, poszedł niedźwiedź potężny, ledwie że ubił coś z mniejszej zwierzyny. Alić łomot i trzask dał się słyszeć — oznaka grubego zwierza: wyszedł ogromny odyniec prosto na Sobieskiego — za strzałem aż przykląkł, już pacholę rogiem poczęło sygnować padłego zwierza od pańskiego strzału, gdy ten za zbliżeniem się Sobieskiego porwał się i słaby ale wściekły ruszył w gąszcz. Sobieski dobywszy kordelasa puścił się za nim.

Pachole znacznie pozostałe w tyle znaczyło, pochód odcinaniem gałęzi, ale rychło zgubiło z oczu pana, niebawem ponowny łomot, krzyk obławy, przybycie strzelców, zmyliło mu ślad.

Nie wiedziano co począć; gdy na liczne nawoływania nie było słychać odpowiedzi, rozporządził dwór iść w ślad za panem, ale był to czas mglisty, a do tego już zapadał zmrok, i zamiast co miało tyle ludzi co pomódz, to jeszcze jeden drugiego mylił. Wardeński, sługa Sobieskiego, w najwyższym niespokoju zostający, kazał dawać salwy z palnej broni, to rozpalać ognie — wszystko na darmo, o panu ani słychu.

Tymczasem gdy wszyscy w takiej trwodze, Sobieski tuż-tuż następywał na zwierza, który coraz częściej upadał — słyszał z razu nawoływania i sygnały, ale nie odpowiadał na nie, bo broń palną i róg myśliwski u pachołka zostawił. Tymczasem już dobrze zaczęło szarzeć, gdy Sobieski daleko zapędził się za zwierzem na darmo. Trza było myśleć o powrocie do swoich, a tu już i noc ciemna zapadła, śnieg zaczął pruszyć i o trzy kroki nic nie widzisz, głuche tylko echo trąb licznych, strzały rzucane dawały do zrozumienia, że daleko zapędził się Sobieski.

Zgłodniały i zmarznięty próbował koniecznie dostać się do swoich, lub gdziekolwiek, bo z różnych stron odzywano się a nikt w głęboki jar, gdzie zaszedł Sobieski, nie przybywał. Wolnym krokiem co moment zapadając w śnieg szedł Sobieski jarem w górę, zkąd miarkował, że się wydostanie na równiejsze miejsce i łatwiej zejdzie się ze swoimi. Tak gramolił się dość długo i wyszedł na dolinkę obszerną z której jednego kąta słabo przebijało światełko z gęstwiny leśnej.

Wtem nagle duży jeleń porwał się prawie z pod nóg jego i pobiegł prosto ku miejscu zkąd światło biło, a śladem jego podążył Jan. Rogacz stanął u chaty niziutkiej, z której malućkiem okienkiem przebijało światło, uderzył rogiem o drzwi i rozwarły się. Niebawem rozwarły się i drugie, a z izdebki łuczywem oświeconej wyszedł poważny w kutę zakonną odziany starzec, któremu rogacz przypadł do nóg, i tak leżał czas cały, aż Sobieski wszedłszy do chaty powitał gospodarza:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

Na co mu odpowie poważny starzec:

— Sława Bogu, sława Jezusowi, sława i wam na wieki.

Na co mu rzecze Sobieski:

— Kto jesteś starcze, nie bluźnij Bogu, i nie mów, że i mnie sława na wieki, bo tylko Boska sława trwa wieki, a ludzie znikomi i sława ich znikoma. Powiedz gdzie jestem i co tu robisz?

— Nie lękajcie się panie — odrzekł staruszek — ja zakonnik i pustelnik biedny! Raduję się bardzo, że was przyjąć mogę w mojej chacie, bo na głowie waszej widzę królewską koronę, a na waszem sercu czytam wieczną chwałę!

I przypadł starzec do nóg i ucałował ręce Sobieskiego, a łzy gorące uczuł Jan na obliczu starca. Przerażony, pomięszany a przytem dziwnem przejęty uczuciem, podniósł Jan sędziwego starca, łzy mu stanęły w oczach, i wzruszony zawołał:

— Powstań człowiecze, jesteś mąż Boży, niech się dzieje święta wola Jego, dziś będę u ciebie w gościnie zmarzły i głodny — jutro was wezmę do siebie!

I wszedł Jan do izdebki pustelniczej ojca Gedeona, bo tak się nazywał ów pustelnik; na małym kominku pryskał ogień, a w garnku nie wielkim gotował się groch, który służył na wieczerzę Sobieskiemu; starzec dołożył drewek, zrobiło się jaśniej i weselej.

Za wolą starca Jan legł na mchem i wonnem zielem uścielonem łożu, i rozmawiał swobodnie, gdzie jest, zkąd starzec i od kiedy w pustyni zamieszkał. Z rozmowy dowiedział się Sobieski, że ów jeleń był starca chowu, że dziwnym spo-

sobem żaden zwierz, żaden myśliwy dotąd mu nie szkodził, dlatego nazwany był ten jeleń od starca królem.

Na liczne zapytania Jana, starzec prawił: Jako dawno, już bardzo dawno, gdy szczęście było na kozaczej Ukrainie przystał do Kozaków, był w Tataryi i w Tureczczyźnie, był daleko aż w moskiewskiej stolicy z starym hetmanem Żółkiewskim w kozaczym zaciągu; potem złe nastały czasy, Gedeon przerażony strasznym mordem i zniszczeniem, skrył się do klasztoru, ztamtąd wyciągnięty musiał służyć w kozackiej wyprawie Chmielnickiego, a w bitwie uszedł samotrzeć w lasy, aż przyszedł na miejsce dawnej pogorzeli, gdzie przed laty stała wieś Krasnopuszcza, zastał szczątki pieca, ścian, własną ręką dorobił co brakowało, w czem mu jeden poczciwy wieśniak Plichowski, dziś mu jeszcze żywności dostarczający, dopomógł; teraz modli się za ludzkie i sa swoje grzechy, jako wierny wyznawca zakonu św. Bazylego wielkiego.

— Raz miałem sen, rzecze starzec w końcu, w śnie widziałem cię jako dziś w koronie, z mieczem w ręku, u stóp twych padały pogańskie głowy, buńczuki liczne, a kędyś się ruszył, rosły krzyże za tobą. I oto urodziło się dziecię na imię Jan na zamku Oleskim, toś ty był panie, a naznaczono mi jest pierw nie umierać, aż cię królem obaczę!

I padł na kolana i począł się gorąco modlić, a było to już późno w noc. Sobieski wpatrywał się długo w starca z zachwyceniem, wreszcie sen oczy mu skleił, i spał miło jak nigdy. I zdało mu się, jako na ulubionym cisawym koniu dalekie przebiegał strony, a z nim wierna drużyna zbrojna; u stóp jego padały muzułmańskie głowy — a kędy się ruszył wyrastały krzyże, i na swej piersi widział krzyż wielki złocisty, a na swej głowie poczuł ciężką koronę królewską, a tłumy ludu cisnęły się do stóp jego, i wołały:

— Sława, sława na wieki!

Gdy Jan oczy otworzył było już późno w dzień, u stóp jego stał Gedeon o piec oparty, u drzwi stary sługa Wardeński, na dworze słyszał głosy zebranych ludzi. Ale w uszach jego jeszcze mu brzmiało owe „sława, sława na wieki;“ kilkakroć

mimowoli chwycił się za głowę, jak gdyby go już gniotła ciężka korona królewska którą mu pustelnik wywróżył.

Długo tego ranku modlił się; gdy chciał powstać z klęcznika, stary Gedeon włożył ręce na jego głowę i błogosławił mu. Poczem Jan powstawszy rzecze do Gedeona:

— Święty starcze, chcę aby na miejscu, gdzie dziś byłem u ciebie w gościnie, stanął klasztor twego zakonu! Wardeńskiemu rozkazuję, aby obrosłe dziś i puste to miejsce oczyszczono, a ile na dzień człek drogi dokoła tego miejsca zbiegnie, tyle ziemi dam na własność mnichom. Ty zaś święty starcze pojedziesz ze mną, by dla nowej fundacyi ułatwić co należy, gdyż chcę, byś w nowym klasztorze był przeorem.

I oto z tym wypadkiem od roku 1665 datuje się fundacya klasztoru obecnie w lesie Pomorzańskim położonego w Krasnopuszczy.

Gedeon odjechał natychmiast z Janem Sobieskim do Lwowa, gdzie Jan pod dniem 7. marca 1665 w jednym czasie dwie fundacye na piśmie mnichom św. Bazylego wielkiego uczynił, jedną dla Krasnopuszczy, i tego klasztoru przełożonym został Gedeon, drugą dla Złoczowa. Po czem niebawem uposażył Jan jeszcze trzeci dawny klasztor Bazyliański w Podhorcach. Gedeon już z wiosną 1665 miał gotowy klasztor drzewniany w Krasnopuszczy i trzech zakonników pod sobą, doczekał się w lat dziesięć że się jego wróżba spełniła, to jest że Jan Sobieski został królem obrany i ukoronowanym, i doznał obfitych łask jego, bo nietylko Jan uposażył klasztor obszarem tysiąc morgowym, ale nadto udzielił dzwonów lanych z dział zdobytych na Turkach, i rozkazał nadwornemu malarzowi swemu Bazylemu ze Lwowa wykonać cały ołtarz w cerkwi bazyliańskiej Krasnopuszczańskiej, która robota tegoż znakomitego malarza jest tak piękną, że obecnie ceniony jest na sto tysięcy guldenów! Są na nim apostołowie i ewangieliści, Chrystus na krzyżu, Matka bolejąca, stacye, wniebowstąpienie i wniebowzięcie Pańskie.

Obdarzył też Jan klasztor Krasnopuszczański pięknymi portretami królewskiej rodziny Sobieskich. Z czasem Krasnopuszcza stała się ulubionem miejscem Jana Sobieskiego, z ścieżki

wązkiej leśnej kazał zrobić szeroką drogę królewską, na miejscu dzisiejszej „brackiej pasieki“ stał letni pałac królewski z drzewa; w nim zbierano się na łowy, dawano uczty i zabawy, ślady tegoż są po dziś dzień.

Wdzięczni Bazylianie obdarzeni hojno za staraniem Ojca Gedeona, pochowanego w Krasnopuszczy w dzwonnicy r. 1689, oznaczyli granice Krasnopuszczy kamieniami, jako niegdyś kazał król Jan III. poznaczać, na nich wypisano:

Dlatego ta jest tablica wyryta,
Niechaj świat cały pochwały wyczyta,
Że Krasnopuszczy grunta konferował
JAN Najjaśniejszy kiedy suplikował,
Ojciec Gedeon hegumen z braciami
Znaki uczynił granic kamieniami.

Na odwrotnej stronie kamienia napisano dokoła orła polskiego:

Jakób Ludwik królewic polski 1736.

Na innym kamieniu daleko starszym przy dawnej drodze na padole stało:

Ojciec Gedeon Bujnicki otrzymał od króla Jana III. Sobieskiego dla Bazylianów w Krasnopuszczy fundacyą i grunta roku 1679.

Rady gospodarskie.

Jak dobry gospodarz powinien gnój przechowywać?

Niezawodną jest rzeczą, że gnój jest najgłówniejszą podporą gospodarstwa; a jednakże jak mało starania dokładają gospodarze nasi do przechowywania tegoż? Wnijdźmy w ich podwórza a przekonamy się, jak smutny obraz przedstawi się naszym oczom. Gnój wyrzucony z obór i stajen na kupy bez ładu, wystawiony na palące promienie słońca, albo też na deszcze ulewne i śniegi, traci najgłówniejsze części pokarmu roślinnego; w kilku miejscach potworzyły się smrodliwe kałuże,

które nęcą rozmaitego rodzaju owady i są plagą dla ludzi i bydląt; tworzące się wapory z tych kałuż zarażają powietrze i są bardzo szkodliwe dla zdrowia.

Tam, gdzie obora jest tak urządzona, iż gnój można w nich pob bydłem przechowywać, nie masz tych strat i niedogodności; gdy przecież gospodarstwa wasze po większej części takich budynków nie posiadają, trzeba temu złemu zaradzić w inny sposób, który jest łatwy i tani, to jest przez urządzenie gnojowni i przez odpowiednie przechowywanie gnoju w tejże. Gnojownia taka prawie nic nie kosztuje, bo każdy gospodarz może ją sam sobie zrobić. Najstósowniej jeżeli się tą robotą zajmie po zasiewach jarzynnych, bo od tego czasu aż do żniw ma najwięcej wolnego czasu. Poprzednio jednakże, najlepiej podczas późnej jesieni i zimy, trzeba sobie przysposobić materyały to jest sporą ilość kamieni na bruk przydatnych, wielkości od pięści aż do głowy ludzkiej, także piasku żwirowatego do bruku potrzebnego, bo spód gnojowni i brzegi jej powinny być wybrukowane. Gnojownia powinna się znajdować tuż przy oborze, jednakże nie bliżej niej jak 15 stóp, po stronie północnej, i być cokolwiek wgłębioną na jedną do dwóch stóp. Objętość jej winna się stósować do ilości bydła; kształt jej powinien być podłużnym czworobokiem, długość dwa razy większa aniżeli szerokość; w gospodarstwach waszych zwyczajnych np. 40 stóp długości a 20 stóp szerokości. Po jednej stronie w środku gnojowni powinien się znajdować zbiornik czyli studnia do gnojówki; ta studnia musi się znajdować w miejscu najniżej położonem, a pochyłość spodu gnojowni winna się do tej studni tak stósować, iżby gnojówka z każdego punktu gnojowni mogła do niej spływać. Głębokość jej może być 5 stóp, szerokość zaś w kwadrat 3 stopy; powinna być wyłożona cegłą, lub też kamieniami i musi być przykrytą. Boki gnojowni należy wyłożyć kamieniami, a w obydwóch końcach gnojowni urządzić wygodny wjazd. Całą gnojownię trzeba obtoczyć rynną wybrukowaną dlatego, aby woda deszczowa z podwórza ani z dachów nie mogła do niej spływać. W końcu należy ją opasać płotem, aby świnie ani drobiazg nie miały przystępu. Korzystnie jest także zasadzić

w około gnojowni drzewa, dające wiele cieni, aby gnój chronić przed promieniami słońca.

W tak urządzoną gnojarnię wynosi się gnój według potrzeby codziennie lub co kilka dni i układa go się porządkiem warstwami, zacząwszy na jednym końcu, mięszając gnój bydlęcy z końskim i ze świńskim.

Jeżeli inne zatrudnienia gospodarskie nie pozwalają dłuższy czas gnoju wywozić w pole, nie potrzeba się obawiać, iżby się psuł, bo można temu bardzo łatwo zaradzić. W studni zbiera się bowiem zbyteczna gnojówka, którą można użyć do polewania a jeszcze lepiej do skrapiania gnoju, co zapobiega zepsuciu.

Kto gnój przechowuje w sposób powyższy, korzysta na ilości i jakości. Mogę zaręczyć, że będzie go miał jeszcze raz tyle jak dawniej, i że jedna fura będzie znaczyła tyle co dwie dawniejszych. W skutek tego gospodarstwo jego będzie się znajdowało w kwitnącym stanie a zysk powiększy się w dwójnasób.

Sz. N.



Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Kończymy z tym numerem siódmy rok DZWONKA i rozpoczynamy w Imię Boże ósmy. Mamy nadzieję, kochani bracia czytelnicy, że i w tym nowym roku naszej pracy będziecie nam życzliwi całem sercem, tak jako my dla was, i że pomiędzy sobą rozszerzać będziecie DZWONEK, tak aby go z czasem nie brakło w żadnej poczciwej chacie wiejskiej. DZWONEK kosztuje tyle co zawsze: **2 zł.** *na rok, a* **1 zł.** *na pół roku. Kartki, w których przesyłać macie pieniądze, już z poprzednim numerem rozesłaliśmy — teraz zaś posełamy wam spis rzeczy i okładzinkę z całego tomu. Panu Bogu was oddajemy!*

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.